

MODLITWA ZA BISMARKA.

OPOWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

EW. M. z K.



W POZNANIU
NAKŁADEM I CZCIONKAMI W. SIMONA.

1885.

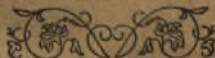


MODLITWA ZA BISMARKA.

OPOWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

EW. W. z K.



W POZNANIU.
NAKŁADEM I CZCIONKAMI W. SIMONA.
1895.



56625

884-3

ZBIORY SLASKIE

AKC 12 201 / 42 / 5

I.

— Matulu! Matulu! ja jutro nie pójdę do szkoły!

— A to czemu, mój synu?

— A bo to jutro nie będzie nijakiej nauki, jeno „fest“ dla Bismarka.

— Dla Bismarka?

A jakże! Powiedział nauczyciel, coby się każde z nas porządnie, niby do kościoła, ubrało, bo to wielki „fest“ jutro, jako że Bismark jutro ośmdziesiąt lat skończy i w całym kraju będą te urodziny pięknie „obchodzone“.

Zamiast odpowiedzi — westchnienie, — głuche, z głębi piersi pochodzące, podobne do jęku, — potem cisza chwilowa.

Rozmowa ta toczyła się w izbie chaty, położonej za opłotkami wiejskimi, należącej do najzamożniejszego we wsi gospodarza, Bartłomieja, a przeznaczonej dla komorników jego. Izba była niska, o jednym okienku, obejmowała ledwie kilka metrów kwadratowych; otwarty komin zastępował zarazem piec i kuchnię, słowem była to izba, jakich pełno po

wszach naszych. Urządzenie jej było bardzo proste i ubogie: Stół, kilka stołków, dwa obrazy na ścianie, Matkę Bożką i ukrzyżowanego Zbawiciela przedstawiające, pod oknem skrzynia pomalowana w jaskrawe kwiaty na błękitnem tle, na kominie kilka garnków, a na półce cztery miski, parę kubków glinianych i kilka łyżek cynowych. W kącie stało łóżko, a na tem łóżku leżała na lichej pościeli blada, wynędzniała kobieta, z widocznymi na twarzy i ciele śladami tej strasznej choroby, która ofiary swe długo dławi w bolesnych uściskach, zanim je w grób wtrąci, a często, jakby na szyderstwo, złudnym rumieńcem czerstwości i zdrowia twarz im pokrywa. U tej chorej atoli rumieniec znikł był już zupełnie, ustąpił on miejsca trupiej niemal bladości, która przepowiadała blizki już koniec. Odbijały od niej tem bardziej krucze czarne włosy, wydobywające się w nieładzie z pod starego czepca, także brwi i oczy, — pałające owym chorobliwym fosforycznym blaskiem, nie rzadko spotykanym u suchotników. Wieku chorej nie łatwo było odgadnąć, rysy twarzy zanadto już zmieniła choroba; jednakże kolor włosów, nie dotkniętych jeszcze siwizną, uprawniał do przypuszczenia, że chora czwartego krzyżyka jeszcze nie skończyła. W młodości swej musiała to być piękna kobieta, dziś naturalnie z dawnej krasy prócz regularności rysów i dużych oczów wyrazistych nic nie pozostało. Ręce jej, już tylko kości, pokryte bladą, miękką, przezroczystą niemal skórą, wyciągnięte na pierzynie trzymały różaniec z czarnych paciorków z żółtym, mosiężnym krzyżykiem. W tej chwili oczy chorej zwrócone były ku lewej stronie łóżka, gdzie stał trzynastoletni spory chłopiec, ubogo ale chędogo ubrany. Na stołku przy stole siedziała o rok młodsza dziewczynka i obierała ziemniaki na wiecze-

rzą. Marcowe słońce chyliło się ku zachodowi, a ostatnie jego czerwone promienie, przekradłszy się przez zielone szyby okienka, tęczowym blaskiem oblały twarz chorej. Ktoby jej się był przyjrzał w tej chwili, od razu byłby musiał dostrzedz, że przebija się z niej nie tylko dotkliwy ból fizyczny, ale może gorszy jeszcze ból sercowy.

Chłopak stał, oczy wlepił w twarz matki i czekał odpowiedzi.

Po chwili chora zakaszlała ciężko, poczem odezwało się w piersi świszczące rżenie. I dopiero gdy to ucichło odezwała się słabym głosem:

— A jednak pójdiesz, synku, musisz iść, bo by cię znowu na karę zapisali, a z czego bym ja biedna zapłacić miała? Jeszcze wiele, że pozwolą Maryśce w domu siedzieć przy mnie. Nie, Stachu, już iść musisz, choć to Bismarka urodziny. Mój Boże miłosierny, dodała po chwili, a dwie łzy spłynęły jej po twarzy, jakże długo ten człowiek żyje! A nasi przez niego tak rychło pomarli! Oj! ma on ich na sumnieniu ma! odpowie za nich i za naszą niedolą przed Bogiem, — ale ty synku do szkoły iść musisz, bo biedna matka nie może już zarabiać tyle, aby kary za was płacić mogła...

— Chętniejbym poszedł do Bartłomieja na robotę, tambym i złotówkę zarobił i byłoby na okrasę dla was. A przecie gdy kary nie zapłacicie, to do więzienia was wziąć nie mogą za moję znużę, kiej was, Matko, Pan Bóg taką chorobą nawiedził.

— A bo to oni zważają na niedolę ludzką, na chorobę? — odrzekła chora, a już z głosu samego wielka przebiegała się gorycz, — powiedzą ci, że tak w prawie stoi, co ten Bismark je wydał na lud polski, no i zabiorą ci wszystko,

co masz, a i chorego do więzienia wezmą. Dość się oni nachodzili do chaty naszej, dość nabrali dobra różnego, aż nas wreszcie do żebraczego kosztura przywiedli. Toć i twój ojciec chory był we więzieniu, a jednak go nie puścili, aż umarł, aż mi po jego ciało przyjechać kazali...! Oj! ten Bismark! ten Bismark!

Tu całe ciało chorej zadrgało kurczowo, ręce silniej się spłotły około krzyżyka mosiężnego, a z piersi wydobyło się głośnie chrypliwe szlochanie. Łzy jak groch spływały po jej bladej wynędzniałej twarzy.

Dzieci z krzykiem i płaczem rzuciły się ku łóżku matki i zawtórowały jej cienkimi dziecięcymi głosikami.

— Nie płaczcie, Matulu — wołała przez łzy mała Maryśka, nie płaczcie Matulu, bo mi się serce kraje. Już Stach pójdzie do szkoły, już się Bóg zlituje nad nami, jeno wy Matko nie płaczcie, bo my na to patrzeć nie możemy.

— Już pójdę, pójdę! niech się dzieje, co chce, jeno nie płaczcie, — szlochał i Stachu, i chwyciwszy bladą rękę chorej, gorąco całować ją zaczął.

Chora podniosła drugą rękę, — jakby chciała ją położyć na głowie syna, ale siły jej na to nie pozwoliły. Spuściła ją na pierzynę, jeno oczy jej spoczęły na dzieciach, a w tych oczach malowało się tyle macierzyńskiej miłości, że jedno ich spojrzenie starczyło za setki słów pieszczotliwych.

Powoli wszyscy troje się uspokoiłi. Matka zakaszłała znowu, potem pierwsza przemówiła:

— Wiedziałam, Stachu, że mnie usłuchasz i pójdziesz, boś dobre dziecko, i nie chcesz, aby matka z twej winy cierpiała bardziej jeszcze. Dobrzeby wprowadzie było, żebyś co zarobił, boć od tygodnia przeszło jeno kartofle ze solą jemy,

ale ja już wolę głód cierpieć, byle tylko oni mi znów do chaty nie przychodzili. Gdy ich widzę, to zaraz stare rany się otwierają, serce pęka z bóleści. Niech mi już spokój dadzą i gdy mi tyle zabrali, niech mi choć umrzeć pozwolą spokojnie. Długo to już i tak nie potrwa, dzieci moje! Ale nie płaczcie, dziatki, nie płaczcie, — dodała żywo, widząc, że dzieci znów szlochać zaczynają, — nie płaczcie! Snać to już taka wola Boża. Gdy mnie nie będzie, to już Bóg sam jako wami się zaopiekuje i zmarnieć wam nie da. Toć żyję jeszcze i patrzę na was i cieszę się, że mi Pan Bóg dał takie dobre i posłuszne dzieci na pociechę w niedoli. Zresztą ty, Stachu, już sam sobie dasz radę, gdy cię na św. Michał ze szkoły wypuszczą; u Bartłomieja znajdziesz robotę i strawę, a i Marynkę on weźmie, sam mi przyrzekł. Ale właśnie dla tego iść musisz jutro do szkoły, bo by cię jeszcze za karę na św. Michał nie puścili i dłużej byłbyś Bartłomiejowi ciężarem. Ja już tam twojej pomocy potrzebować nie będę, — ale dla was samych lepiej będzie, gdy choć jedno na chleb sobie zapracować będzie umiało...

— Eh! Matulu, — mnie oni dzisiaj w szkole wcale zatrzymać nie mogą, jak Bartłomiejowego Franka, bo tego dla tego zatrzymali, że niemieckiego ani rusz zrozumieć, ani gadać nie umiał, choć codziennie go bili... Ja po niemiecku umiem, a że zaraz po św. Michale skończę lat czternaście, to mnie puścić muszą.

— Ich nikt do tego przymusić nie może, Stachu; nikt, chyba sam Pan Bóg. Ten Bismark wszystko może zrobić, co jeno zechce, a my biedni tylko słuchać i cierpieć musimy. Snać taka to już wola Boża!

— A jakże też Pan Bóg na to pozwolić może, że biedni ludzie tak cierpieć muszą, kiedy ten, co tyle ludzi pomarnował, żyje tak długo i honory zbiera i mu tak dobrze na świecie. Toć to...

— Cicho! Stachu! cicho! przerwała mu matka z pośpiechem, ale i z widocznym wysiłkiem, bo dzisiejsza ta rozmowa i przebyte wzruszenia bardzo ją osłabiły, — nie bluźnij! Czy to już nie pamiętasz, co ci ksiądz proboszcz na nauce powiedział, że nie masz się pytać Pana Boga, po co to i na co to tak, a nie inaczej zrządził? Bóg już wie dobrze, co ludziom potrzeba i co dobre dla nich, on jeszcze i od niego zażąda rachunku, a nas biednych... tam..., na tamtym świecie... nagrodzi światłością wiekiustą!...

— Głos chorej słabł coraz bardziej i ostatnie słowa wymówiła już szeptem tylko. Ale twarz jej przybrała wyraz nadziemskiego jakiegoś zachwytu. Usta poruszały się, jakby w modlitwie, a palce przesuwwały wolno paciorki różańca.

I znów cisza na chwilę zapanowała w izbie, przerywana szelestem, jaki sprawiała Maryśka przy obieraniu ziemniaków.

Stach siedział przy łóżku na stołku i ciemne, podobne do matczyńskich oczy wlepił w podłogę w głębokim zamyśleniu. Na wyrazistych rysach jego przebijała się teraz dziwna jakaś zawziętość, połączona z uporem. Łatwo można było poznać, że gdyby nie choroba i lzy matki, niebyłby tak rychło od oporu swego odstąpił, że żał mu tego kroku, i że wciąż jeszcze złe myśli przesuwają mu się po głowie, że knuje w niej zamiary, których jeno ze względu na stan matki wypowiedzieć się obawia.

Tymczasem słońce zaszło, chora leżała spokojnie i poruszała ustami, odmawiając różaniec. Maryśka roznieciła ogień, aby uwarzyć strawę wieczorną i siedziała pod piecem patrząc w zadumaniu w rozpryskujące się w płomieniach gałązki sosnowe. Nagle podniosła głowę, spojrzała na brata i odezwała się półgłosem, nie chcąc przeszkodzić matce:

— Jeżeli to będzie taki „fest“, jak w cesarskie urodziny, to pewnie już wczas przed południem puszczą was do domu?

— A pewnie! odmruknął zagadnięty.

— To i tak możesz iść do Bartłomieja na zarobek. Był on tu wczoraj i pytał się o ciebie. Teraz roboty dużo, a ludzi mało, bo do Sasów ciągną. Gdybyś tak przyniósł złotówkę — tu głos zniżyła bardziej jeszcze, — możnaby kupić dla matuli coś lepszego, jak te ciągłe perki ze solą...

Stach podniósł głowę, spojrzał ukradkiem na chorą, potem ku siostrze i zamiast odpowiedzi kiwnął tylko potakująco głową. Potem znów cisza zaległa izbę, i tylko od czasu do czasu przerywał ją trzask płomieni i suchy kaszel chorej.

II.

Panowie przy stołach sądowych lub posłowie w izbie poselskiej, którzyto wszędzie i we wszystkim dopatrują się agitacyi polskiej i jakiegoś bezustannego buntowania ludu przez szlachtę i księży przeciwko „ojcowskim“ rządowi pruskiemu, przeciwko Bismarkowi i przyjacielowi jego, — gdyby czytali tę opowieść moją, niezawodnie z niedowierzaniem i ze złośliwym uśmiechem pokiwaliby głową. Zapewne bowiem nie uważają za możliwe, aby w ubogiej chacie za opłotkami wiejskimi taka niechęć do Bismarka, taki żal jakiś — łago-

dnie się wyrażając; — mógł sam ze siebie się zrodzić, a pewnie i w tym wypadku wietrzyliby wrogą dla państwa agitacją panów i księży. Bo jakżeby taka uboga kobieta, nie mająca najmniejszego zrozumienia polityki, zapewne nawet nieświadoma obowiązków względem swej narodowości i praw tejże przysługujących, jakżeby kobieta taka, lub ów chłopiec mały mogli sami ze siebie przejąć się niechęcią do męża, którego działalność nie wkracza bezpośrednio w zakres ich myśli i pojęć?

Przecież sam Bismark niejednokrotnie powiadał, że chłop polski wogóle siedziałby cicho, gdyby go pan i ksiądz nie podburzali, i że on też, jak często zaręczał, bynajmniej nie walczy przeciwko spokojnemu i zadowolonemu chłopu polskiemu, tylko przeciwko jawnym i ukrytym agitacyom polskiej szlachty i polskiego duchowieństwa. Więc jakżeby chłop polski, a tem mniej jeszcze uboga polska chłopka mogła go nienawidzieć, jeśli jej nikt tej nienawiści sztucznie nie wpoił? — I poniekąd panowie ci mieliby słuszość. Żal i niechęć biednej kobiety i jej syna do żelaznego kanclerza nie były wynikiem własnego rozumowania politycznego, lecz zostały zrodzone przez zewnętrzne przyczyny, tylko że przyczyny te nie miały nic wspólnego z ową urojoną agitacją wielkopolską, która pod strzechę biednej kobiety nigdy nie zajrzała. Niechęć do Bismarka wzbudził tam ktoś inny, daleko pochwytniejszy, ale i potężniejszy od wszelkiej agitacji polskiej, wzbudził ją nie kto inny, jeno Bismark sam **polityką swoją**, która jakkolwiek w pierwszej linii skierowaną była przeciwko narodowym i politycznym dążeniom i prawom polskiego ludu, w wielu wypadkach strasznie się dawała i daje dotąd we znaki **rodzinom i jednostkom**

w ich rodzinnych lub osobistych stósunkach, bez względu na stan i położenie. I w tem może właśnie spoczywa rozwiązanie zagadki, dlaczegoto chłop polski, choć narodowo, społecznie i politycznie mniej wyrobiony i wykształcony niż szlachta i księża, tak samo odczuwa szkodliwość praw, wymierzonych przeciwko całemu polskiemu ogółowi. On widzi skutki polityki antypolskiej, widzi ból i łzy, jakie polityka ta wyciska i dla tego żadnej nie potrzebuje podniety, żadnych podszeptów, aby na tę politykę tak samo się zapatrywał, jak pan lub kapłan polski.

Tak jest! sam Bismark sprawił, że w owej chwili, w tej ubogiej polskiej chacie już samo wymówienie jego nazwiska wywołało łez strumienie. Wielka polityka nie liczy się z jednostkami; ponad ich osobistymi sprawami i interesami kroczy ona ku wytkniętemu wielkiemu celowi. Ale jej słuszność, godziwość i sprawiedliwość ocenić można bardzo dobrze podług tego, o ile w swym zapędzie, w dążeniu swem do celu podnosi lub łamie jednostki, — ile łez ludowi osusza, lub ile ich wyciska. Nietylko po owocach, ale już po jej ofiarach i ich liczbie, — poznać możemy jej wartość. A właśnie polityka Bismarka, krocząc od samego początku drogą siły, przemocy, krwi i żelaza, pochłaniała i dziś jeszcze pochłania ofiar niewinnych tysiące i wyciska prawdziwe morze łez i krwi ludzkiej.

Lecz wróćmy do opowieści naszej. Leżąca na łóżku chora kobieta niezawsze była taka cierpiąca i błada; pamięta ona lata, w których jaśniała krasą, czerstwością i zdrowiem, w których uśmiechała się do życia, a życie do niej. Była ona córką gospodarza z za kordonu, który straciwszy przez różne okoliczności swą zagrodę, po śmierci żony z córką

jedynaczką przybył za chlebem na naszą stronę, — „do Prus“. Sądził on, że tu łatwiej znajdzie zarobek dobry i nie omylił się, bo wnet przyjęto go w Bieszczycach za trzeciego włóдаря, a córkę jego na służbę do dworu.

I dobrze się obu działo w tej służbie, bo państwo byli zacni, ludziom nie dokuczali, nie żądali, aby służba dla nich się na śmierć zamęczała, — dobrze płacili. Było dobrze staremu, a lepiej jeszcze córce jego, która tam znalazła to, za czem często wzdycha zarówno panna w salonie, jak dziewczka w izbie czeladnej: znalazła nietylko czepiec, ale i szczęście małżeńskie pod czepcem. A do tego jakiego jeszcze męża! Był to pierwszy woźnica pański, zwany zwykle „forczpanem“ — (dla „lepszego“ zapewne brzmienia), — chłopak jak malowany, w galonowej czapce na uchu, z wejrzeniem zucha; trzeźwy i oszczędny, uciulał on sobie już sporą sumkę z napiwków i zasług. Za dobrze mu było widocznie w pańskiej służbie, bo zapragnął mieć lepiej jeszcze, zapragnął własnego chleba, no i krótko po ślubie podziękował za służbę i kupił we wsi sąsiedniej szmat roli, konia i dwie krowy i stał się gospodarzem całą gębą. A choć z małym kapitałem poszedł na swoje, wiodło mu się nienajgorzej; spłacał długi i coraz weselszy spoglądał w przyszłość. Teść tymczasem pozostał jeszcze na pańskim, lecz widząc, że zięciowi dobrze się powodzi, poszedł „do dzieci“. Stary znalazł tam raj prawdziwy, bo nietylko Antka jego była dobrą, wdzięczną córką, ale i Walek Kempa lepszym od niejednego rodzonego syna. Pomagał im stary w gospodarstwie, a za to miał jadło dobre, i wygody i poważanie ojcowskie, a gdy Bóg dał wnuki, to i radości przybyło, boć wiadoma rzecz, jak to starzy lubią pieścić i piastować wnuczęta swoje. Tak tedy było mu

u dzieci, jak u Pana Boga za piecem, a że się dużo w świecie nakolatał, nacierpiał i nasmucił, więc za tę pociechę na starość nigdy dosyć Panu Bogu nadziękować się nie mógł. I tak żyli ci ludzie spokojnie, szczęśliwie, choć w pracy i znoju, aż Bogu spodobało się zesłać na nich ciężkie doświadczenia przez — Bismarka.

Wydano owo rozporządzenie, że ci którzy są z obcego kraju, znów za granicę wynosić się mają, wrócić tam, z kąd przyszli. I zaczęto biedaków tych wyganiać bez litości, ojca od dzieci, brata od brata, męża od żony, a płacz ludzki rozlegał się w dzień i w nocy z setek chat i zagród. Ludziska pojąć tego nie mogli; — Polak z pod starego Krakowa lub z pod rosyjskiego knuta, stanawszy na wielkopolskiej ziemi, sądził zawsze jeszcze, że na własnej stoi, a tu Bismark powiedział: precz! to nasza niemiecka ziemia! I tysiące ogniw prysło, tysiące serc w strasznym bólu się rozdarło. A no, trudna rada, snąć się tak Bogu zrzadzić podobało, a wola Jego święta! Spotkało to nieszczęście i ojca Antki. Wiedzieli oni już z gazetki, którą sobie mąż Antki abonował do spółki z kumem Bartłomiejem, że takie prawo wydano, ale jeszcze tego dobrze nie zrozumieli i ani nie przypuszczali iżby ono i nad nimi tak srogo zacieżyć miało!

Aż tu pewnego dnia przychodzi pismo od landrata, aby stary ojciec Antki w ciągu trzech dni wyniósł się za granicę jako niby nie tutejszy poddany. Sądny dzień nastał wtedy w chacie Antczynej. Chłop jej biegał z pismem od wójta do komisarza, od księdza proboszcza do dziedzica, ten nawet wsiadł na bryczkę i wraz nim pojechał do pana landrata, aby łaskę dla starego wyprosić, ale wszystko po próżnicy. Nagadali się obaj, aż ich gardło bolało, że przecie stary długo

nie powiekuje, że już ani dobrze zarabiać nie potrafi, że przecie nie przeciwko królowi, ani przeciw Bismarkowi złego nie uczynił, że gdy go wypędzą, nie będzie miał gdzie głowy złożyć, ale było to tak, jakby kto groch o ścianę rzucał. Pan landrat na wszystkie prośby jeno odpowiadał: „Kann nicht“, — no i na tem się skończyło, Stary przez ten czas chodził jak obłąkany, tak dziwnem mu się to wszystko wydawało. Co on zrobił takiego, biedak nieszczęśliwy, że go chcą wypędzić, — przecie nie zabił nikogo, ani na mieniu nie skrzywdził; do karczmy nie chodził, żandarmowi się nie stawiał, a jednak chcą go precz wygnąć z tego raju, który mu Bóg co dopiero otworzył. Były chwile, że śmiał się jakimś dzikim niehumanym śmiechem i groził: „Niech no przyjdą! Zobaczymy! A jak nie pójdę, to co? Rękami się przyżby uchwyce, nogi w ziemię wkopię, — niech mnie zabiją, a nie pójdę.“

Ale gdy po trzech dniach żandarm przyszedł i spojrzał groźnie i zapytał się, dlaczego to jeszcze stary nie opuścił terytorium pruskiego, odeszła go ochota do oporu. Zaczął stary bluźnić, aż Antka w niebogłosy zapłakała i sobie i dziatkom uszy zatykała, a potem gdzieś poszedł i nie pokazał się więcej.

Na obiad nie przyszedł, ani na wieczerzę, a gdy go szukać zaczęto, znaleziono starego na poddaszu, wiszącego u belki, ze strasznie wylupionemi oczyma. Było w tych oczach coś tak strasznego i okropnego, jakby przekleństwo i wołanie o pomstę do nieba, że nawet groźny żandarm, który właśnie pod ten czas znów był przyszedł zapytać się o starego, a który przecież dość już wisielców widział w życiu, odskoczył ze strachu. Ano, — oderżnięto starego, cucono,

ale na próżno, i wreszcie pochowano go po cichu w kącie na cmentarzu, jako takiego, co niekatolicką śmiercią skończył. Co to Antka przytem dokazywała, tego już opisać nie potrafię, choćbym chciał. Któż to bowiem opisać potrafi, jak się dusza w człowieku na poły rozrywa? To jeno Bogu dobrze wiadomo; On duszę daje i tylko On ją widzi Boskimi oczami.

I z mężem Antki stała się zmiana, i jego ten cios ciężki dotknął do żywego. Ze swobodnego, wesołego stał się posępnym i zgryźliwym. Antkę za ledwie słówkiem pocieszył, a jeno czuł potrzebę skarżyć się przed innymi na niesprawiedliwość, jaką staremu i jemu wyrządzono. Chodził więc częściej do karczmy, bo tam zawsze znajdował ludzi, którzy go słuchali i tak mu polityka w głowę wlała, że już o niczem innem gadać nie potrafił. Tam zaś na sucho się takie gadanie nie odbędzie, więc i Walek niekiedy porządnie sobie rozum przypruszył.

Przysłowie mówi, że nieszczęście nigdy samo nie przychodzi, jeno zawsze drugie wlecze za sobą, niby smok swój ogon, którym ludzi do reszty rozbija, gdy ich najprzód swym ognistym oddechem tchu pozbawił. Tak było i z mężem Antki. Razu pewnego, gdy sobie w karczmie tego podchmielił i ową polityką nieszczęsną się rozpałił, zaczął strasznie wymyślać na Bismarka, jako niby na sprawcę śmierci teścia. Słuchaczom, co który był trzeźwiejszy, aż włosy na głowie stawały, bo w drugiej izbie siedzieli przy piwie żandarm i nauczyciel, którzy obaj, jakkolwiek Niemcy, dobrze po polsku rozumieli. Zaraz też spisali wszystko, co mąż Antki na Bismarka nagadał, zapisali też i świadków i wszystko posłali do sądu.

Nie trwało długo, a Walek dostał zapozew, potem termin wyznaczono, a że w owych czasach za obrazę Bismarka tak prawie karali, jak za obrazę cesarza, zaś Walek ciężko Bismarka obraził, więc skazano go na rok więzienia, i zaraz wprost ze sądu zabrano go do kozy, z obawy, że mógłby uciec przed karą. Antki na tym terminie nie było, bo leżała w domu chora, spodziewając się błogosławieństwa Bożego poraz trzeci. Wiadomo, że kobiecie w tym stanie nie wiele złego potrzeba, aby ją na tamten świat wyprowadzić. To też i Antka jeno z biedą uszła śmierci. Urodziło się to maleństwo, ale wnet je zakopano na cmentarzu, niedaleko dziadka, a Antce z tej niemocy przyszła inna choroba, która jej już nie opuściła i na którą ot teraz dogorywa w kącie.

I znowu napróżno siliłbym się opisać, co się działo z jej mężem, gdy się o tem w więzieniu dowiedział. Chciał, aby go puszczono do domu, ale mu powiedziano, że musi wpieryw złożyć wielką sumę jako kaucyą. A była to suma taka, że całe gospodarstwo Walka tyle nie było warte. Więc nie mając jej, nie mógł uzyskać choć na dzień jeden wolności, jakkolwiek chłop na kolanach błagał o to panów urzędników. Odmowa tak go rozsierdziła, że zaczął potem strasznie dokaazywać, niby szalony lub opętany; krzyczał, szamotał się, — w nocy zaś aż trzy cegły z pod kraty w oknie wyłamał, aby chociaż tą drogą dostać się na wolność i do żony. Snadnie to nad ranem spostrzeżono, jako że Walek do takiej pracy nie był wprawny, i nie umiał śladów jej ukryć; więc mu nogi i ręce włożono w obcę żelazne, co łańcuszkami były ze sobą powiązane, i zamknięto go o chlebie i wodzie do ciemnej celi, jak to zwykle się dzieje z tymi, co z pod karności więziennej się wyłamują.

A przecie chłop ma takie samo serce, jak pan najdoszajniejszy i tak samo odczuwa ból lub radość, smutek lub wesele.

Twierdzą nawet różni mędrkowie, że chłop polski twardą ma skórę i zniesie z łatwością trzy razy tyle złego, co człek innej narodowości, nim go niedola złamie, ale niewiele w tem prawdy, choć pozornie tak sądzićby można. Sam widziałem w więzieniu chłopków polskich, takich co siedzieli za karę i takich, których niewinnie trzymano po kilka miesięcy w śledztwie, zanim się ich niewinność na terminie wydała; byli między nimi i tacy, którzy w domu pozostawili żony i dzieci chore lub w ciężkiej nędzy. A jednak na pozór nie było po nich widać, żeby ich to bolało, lub żeby ich tęsknota trapiła; niby zimni i obojętni, zjadali z wybornym apetytem ogromne misy grochu i pęczaku, nietylko te, które dla nich przyniesiono, ale i te, których słabsi od nich dojeść nie mogli; mogłem być sądzić, że dobrze im z tem było. A jednak w głębi ich duszy robak boleści gryzł, gryzł i doskwierał tak, że często — gdyś z boku na nich spojrział ukradkiem — dostrzedz mogłeś, jak taki lub owaki obcierał kulakiem oczy, które łzami mu zaszyły. Są też między nimi i tacy, którym mierznie jałdło więzienne, którzy w oczach marnieją i marnie giną za kratą, zanim ich słonko wolności do nowego życia rozgrzeje. Do tych należał i Walek. W ciemnej celi straszna niewola jeszcze czarniejszą mu się wydawała, a żaden promień słoneczny nie rozjaśnił jej. Gdy oczy nic widzieć nie mogą, wtedy dusza tem lepiej widzi, więc w tej ciemnej celi i dusza Walek widziała, jak na dłoni całą rozpacz i nędzę Antki i jej dzieci. Ciało, jak ciało, zdrowe i silne, jak zwykle u polskiego chłopca, wytrzymałoby i lat dziesięć może takich

katuszy, — ale rozum, ta pajęczyna krucha, na której człek niejednen całe życie swoje chce zbudować, rozum nie wytrzymał. I stało się z Walkiem, że po tygodniu takiej męki zapadł na ciężką chorobę, na zapalenie mózgu. Przeniesiono go wtedy do jasnej sali o dużych oknach, do szpitala więziennego, gdzie takich jak on leżało czternastu. Kto takiego lazaretu więziennego nie widział, nie zdoła sobie wyobrazić, jak człowiekowi na sercu, gdy doń wejdzie. Biedacy niektórzy ledwie dyszą, a jeszcze za kratami, jeszcze zamknięci. Już i zdrowemu brzmi w uszach strasznie, gdy za nim drzwi na klucz i rygle żelazne zamykają. Choremu zaś stokroć żałośniej to dźwięczy, niby tak, jakby już nad nim wieko trumny przybijano. Było w tej sali więcej takich, którzy słusznie cierpieli za swe winy nietylko ludzką, ale i bożą karę, ale byli też i tacy, którzy nie wiedzieli za co cierpią, tym zaś było najgorzej. Jest w takich lazaretach więziennych wszystko, co potrzeba, jest czystość, są leki i opieka lekarska, jest światło i jadło odpowiednie, jakiego niejednen z tych chorych nigdy w życiu nie miał, a jednak wszyscy smutni, jakby już dziś lub jutro skonać mieli. Bo te kraty w oknach, i te drzwi na klucz i rygle zamknięte, zdają się mówić do nich: Nie wyjdziecie ztąd żywi, bo kto raz tu wejdzie, ten już słońca wolności nie ujrzy!

Ot, i z naszym Walkiem tak się stało! Przeleżał on w tej sali może tydzień blisko, o Bożym świetle nic zgoła nie wiedząc. W strasznej gorączce zrywał się co chwilę i wrzeszczał i szalał, aż go przywiązano do łóżka, aby sobie przez to szamotanie co złego nie zrobił. Ale widocznie przyszło mu w tej gorączce takie widzenie, że sądził, iż Antka i dzieci wołają go do siebie, i że to jeszcze te obręcze żelazne

trzymają mu ręce na uwięzi, bo raz nagle wyprężył się cały, szarpnął z nadludzką siłą, zerwał poręcz trzymającą go w łóżku i wołając: „Już idę, Antka! już idę!“ wypadł z ogromnym hałasem na ziemię. Gdy na wołanie i pukanie drugich chorych nadszedł dozorca, Walek już nieżył. Pękło mu coś w mózgu, i zdala od swoich, w więziennym szpitalu, oddał Bogu duszę starganą. A może i lepiej, bo była obawa, że mu się przez tę chorobę rozum zupełnie pomiesza...

III.

Smoczy ogon nieszczęścia jął teraz smagać Antkę samą. Rok, w którym się to wydarzyło był wogóle pierwszym złym rokiem na Walka własnem gospodarstwie. Było o czem myśleć i głowę sobie łamać i bez innych kłopotów, a gdy i te spadły na Antczyną głowę, już się złemu obronić nie zdołała. Proces Walka pociągnął za sobą, jak na ich stósunki, ogromne koszty. Do tego przyłączyła się Antki choroba, brak rąk do pracy, i brak dopatrzenia, no i wszystko poszło na marne. Przychodzili egzekutorzy jeden po drugim, brali w imieniu prawa, co wziąć mogli, aż wreszcie sprzedano zagrodę i chałupę, a chorą Antkę wraz z dziećmi i resztą sprzętów domowych wyrzucono na ulicę. Zlitował się nad jej niedolą sąsiad, Stacha chrestny a zmarłego przyjaciel, Bartłomiej, jako to w polskim chłopie dobre jest serce dla bliźniego cierpiącego, i przyjął ją do siebie za komornicę, choć się wielkiej pracy już po niej spodziewać nie mógł.

Z początku Antka chodziła jak bez czucia, tak, że o jej rozum się obawiano. Oślupiałym wzrokiem wodziła po dzieciach, po izbie brudnej, po ludziach, i całemi godzinami sie-

działa na przyźbie i patrzała w stronę miasta, jakby ciągle jeszcze spodziewała się powrotu męża, choć przecie sama na wezwanie władzy martwe jego ciało z więzienia przywiozła i pierwszą rzuciła grudkę ziemi na trumnę jego. A gdyby nie poczciwy Bartłomiej, byłaby w tych pierwszych dniach wraz z dziećmi z głodu zginęła.

Później jednak przyszło na nią upamiętanie. Spojrzała wtedy na dzieci, — i na odwrót, jak się wzięła do pracy, do zarobku, to pracowała za trzy inne zdrowe baby, dopóki ta robota i choroba nie ścięły jej z nóg zupełnie. Leżała ona teraz w ciężkiej niemocy już od miesiąca, co parę dni krwią pluła i strasznie się męczyła. Poczciwy Bartłomiej z głodu jej umrzeć nie dał. Nie wyrzucił jej z domu, jakby to był może kto inny uczynił i jeszcze jej przysłał to ziemniaków trochę, to chleba bochenek i okrasę kawałek, a często brał jej dzieci do pomocy przy lżejszej robocie i zawsze im płacił za to uczciwie, aby biedna chora i grosz gotowy miała w chacie. Cóż więcej można było wymagać od niego, który przecie też miał dzieci dużo, a przy ogólnej biedzie niewielkie dochody.

Możeby Antce lepiej było w tej niedoli, gdyby dawni jej państwo mieszkali byli jeszcze w sąsiedztwie. Ale sprzedali oni swój majątek jakiejś tam *komisji*, którą także ten Bismark wymyślił przeciwko ludowi polskiemu. Bartłomiej wyczytał raz w gazecie, że państwo to nazwano zdrajcami, jako niby, że skurczyli ziemię ojczystą i Antce zaraz o tem powiedział. Ale biednej kobiecie ani się w głowie pomieścić nie chciało, ani mogło, iżby tacy dobrzy państwo zdrajcami być mogli. I czy też oni naprawdę z biedy wieś swą sprzedali, jak Bartłomiej mówił? Przecież kiedy Antka u nich

służyła, tam biedy żadnej widać nie było, jeno dostatek we wszystkim, nawet łakocie takie, o których to chłop ani nie wie, a któreby mu też wcale nie smakowały. I jakże to, mając taką wieś dużą, tyle koni, bydła i owiec, biedę mieć można? Toć tego, co taka wieś wyda i sto ludzi w roku przejeść nie zdoła, choćby od rana do nocy siedzieli za stołem. Przecież ten Job czy Jobst naprzykład, Niemiec, co to od dawna dzierży sąsiedni mały folwarczek, zbija talar do talara i chłopom wypożycza, i już bez mała całą wieś ma w swem ręku. I to taki Jobst, który ludziom suchego kawałka chleba nie życzy, za każdą szkodę odciąga, za każdą słomkę, lub ziemniak lichy, bez jego wiedzy wzięty, do sądu podaje, że aż już nie ma u niego robotnika, któryby w kozie nie był siedział. Dawne jej państwo nikogo nie krzywdziło, do kościół i spowiedzi świętej chodziło, ludzie u nich mieli jak w raju, chleba i okrasy podostatkiem, bo poczciwe panisko z najlepszego zboża ordynaryą wymierzało, a każdy korzec z grzebieniem takim, coby był połowę drugiego nappełnił. Nie rachował też nikt ludziom słomy snopków, które brali sami do domów, ani pęków chrustu z pańskiego lasu, wszystko to było niby wspólne, ojca z dziećmi. A pani dziedziczka to już był anioł prawdziwy: po wsi chodziła, chorych odwiedzała, małeństwa, chociaż osmolone i brudne, na ręce brała i pieściła. Wtedy i Walentowa u niej miała dobry zarobek, kiedy ją do prania lub innej jakiej posługi zawołano. Wracając zamtąd nietylko w garści trzymała srebrną zapłatę, ale dźwigała jeszcze koszyk pełen chleba, słoniny, lub i mięsa, a często nawet placek słodki dla dzieci, lub rzeczy stare po pańskich dzieciach. Wszystko to teraz minęło, a minęło bezpowrotnie. Z dawnych pańskich zabudowań nie pozostało już

ani śladu, a za to po całym polu czerwienieją domki obcych kolonistów.

Jakże to stać się mogło w tak krótkim czasie? Antka była właśnie wtedy chora i ani wierzyć nie chciała, gdy Bartłomiej jej przyszedł powiedzieć, że państwa już nie ma w wsi. Co też mogło naprawdę wygnać ich z ojcowizny tej bogatej? Zapewne także jakie kruczki tego Bismarka, inaczej bowiem biedna kobieta zagadki tej rozwiązać sobie nie umiała. Nie wiedziała, ani nawet nie przypuszczała, że właśnie ta dobroć jej dawnego państwa, ta rozrzutność nie tylko dla siebie ale i dla drugih, ten brak dopatrzenia w gospodarstwie, którem w oczach ludu tak korzystnie się różnili od takiego Jobsta, Niemca, spowodował ich ruinę. W dzisiejszych czasach, wśród zaciętej walki o byt, dobroć serca wcale a wcale nie popłaca...

Tego Antka nie wiedziała i jeno się dopatrywała w tej sprawie podstęp Bismarka, więc dziwiła się nad potęgą jego, że on tak samo potrafi zgubić pana jak chłopą. Czasem rozmyślając o tem na swym łożu boleści, Antka dziwiła się, że też Pan Bóg na taką niesprawiedliwość pozwolić może, i bywało, że złe i gorzkie myśli a nawet wątpliwości różne przychodziły jej do głowy.

Od chwili jednakże, w której niedawno temu, czując się bardziej słabą, pojednała się na nowo z Bogiem i przyjęła Przenajświętszy Sakrament, myślała inaczej. Poczciwy ksiądz proboszcz tak dziwnie pięknie mówił wtedy do niej taką śliczną dał jej naukę, że biednej kobiecie zdawało się iż raj niebieski dla niej się otwiera. I ten biedny poczciwy ksiądz proboszcz także już cierpiał za Bismarka, jak ja sam na pocieszenie opowiadał, cierpiał przed laty za to, że

obcego człowieka spowiedzi wysłuchał w sąsiedniej parafii. To już po prostu nie do uwierzenia, co ten Bismark z ludźmi wyrabia. Na pół roku wtedy skazano księdza proboszcza do tego samego więzienia, w którym umarł Walek jej, — jeno że Pan Bóg sługę swego zdrowo wyprowadził z tej niewoli, jako że za Boską sprawę krzywdę poniósł. A gdy ona się dziwiła, że Pan Bóg spokojnie na to patrzy i Bismarkowi tak broić pozwoli, pouczył ją ksiądz proboszcz, że drogi Bożkiej Opatrzności są tak dziwne nieraz i zagadkowe, że człowiek napróżnoby się silił je odgadnąć i zrozumieć. To też nie trza o to się kusić, jeno zdać się na Jego świętą wolę; on już każdego nagrodzi stósownie do zasług jego. Widać Pan Bóg tak chce, aby naród polski cierpiał tyle. Bez cierpienia tu na ziemi nikt do nieba nie wejdzie, więc też i Antka powinna z pokorą ból swój znosić, jako wstęp do światłości niebieskiej. Tam znajdzie i ojca, któremu Bóg w swem miłosierdziu wybaczy ciężki grzech popełniony na własnem ciele, dla cnotliwego zresztą życia całego, a napewno już Walka, i gdy już na wieki w weselu i radości w tej światłości Bożkiej złączeni będą, to jej się ziemskie cierpienia wydawać będą tak lekkimi, iż dziwić się będzie, że na nie narzekała. Dzieci? — co dzieci! Ten który karmi ptaki w polu i przyodziewa lilie biedne, ten i jej dziatkom zginąć nie da. Ona zaś w niebie będzie tam lepiej mogła czuwać nad niemi i wyprosić u Pana nad Pany szczęśliwsze dla nich życie. Więc nie powinna narzekać, że ją Pan Bóg cierpieniem nawiedził, że może niedługo już rozdzieli ją z dziećmi i do siebie powoła, bo w nagrodę za te smutki ziemskie znajdzie tam szczęście wielkie, znajdzie Walka swego i ojca starego.

Tak mówił ksiądz proboszcz, a słowa jego we wrażliwym umyśle chorej wywołały rajskie widzenia. Zdawało jej się, że stoi przed wielkim cudownym ogrodem, pełnym przepięknych owoców i kwiatów, a oblanym światłem takim, że aż ją oczy od patrzenia bolały. A wśród tej jasności ujrzała Walka swego, nie takiego bladego, wynędzniałego, jak go z więzienia przywiozła, lecz tego Antka dawnego, z miną zuchwalaka, jak wyciąga ku niej ręce i woła ją ku sobie. A na twarzy jego taka radość, takie szczęście, że aż jej się żal zrobiło, iż jeszcze nie może pospieszyć do niego i uczestniczyć w jego szczęściu.

I od tej chwili dziwna rezygnacya ją ogarnęła. I myślenie o rozstaniu się z dziećmi mniej już straszną dla niej była. — Czuła to ona dobrze, że życie jej dobiega kresu, że już dla tych dzieci nie może być czem innem, jak widmem choroby i śmierci, zatruwającym im życie młode. Chociażby żyła, dzieci odtąd na własną pracę skazane były. Przy Bożej pomocy dadzą sobie radę. Toć Stach już czternasty rok kończy, a i Maryśka, jak na wiek swój, silna i zdrowa. Stach na jesień ze szkoły wyjdzie, to i na Maryskę zarabiać będzie. Przysięgnął jej zresztą Bartłomiej, że sieroty w razie jej śmierci do siebie weźmie i dalej wychowywać będzie, a Bartłomiej był jednym z tych, którzy więcej czynią, niż przyrzekają. Dzieci są dobre, posłuszne, cnotliwe, to i bez matki nie zginą.

Jedna tylko troska ją trapiła, że pozostawi je tu na ziemi zawsze jeszcze pod władzą tego Bismarka groźnego, na którego wspomnienie dreszcz trwogi ją przejmował. Ona, gdy ją Pan Bóg powoła, już będzie przed nim bezpieczną, bo w swoim wymarzonem raju nigdzie się Bismarka dopatrzyć

nie mogła. Wnosiła zresztą i z wesołej miny Walka w owem rajskiem widziadle, że tam już widocznie władza potężnego człeka tego nie sięgała. Ale dzieci, biedne dzieci jej pozostaną tu na ziemi pod jego panowaniem. Żałowała teraz, że im tak często, zwłaszcza śmiałemu Stachowi o krzywdzie wyrządzonej przez Bismarka opowiadała. Chłopak widocznie już się zaciał, a umiał być hardym i upartym, zwłaszcza względem obcych. Niechże Bóg strzeże, aby się przez to co złego mu nie stało, boć z Bismarkiem żartów niema. Dość by już było złego, gdyby go na jesień ze szkoły puścić nie mieli, bo dłużej na łaskę Bartłomieja byłby skazanym. Jeszcze raz go jutro napomni, aby tylko był spokojnym i ostrożnym i by niczem nie narażał się temu mocarzowi.

Takie i tym podobne myśli snuły się po głowie biednej kobiecie, gdy tak leżała na swem łożu cierpień; całe jej życie stanęło jej żywo w pamięci ze wszelkimi szczegółami. I teraz chyba każdy przyzna, że w tej chacie nie było potrzeba żadnej agitacyi — że i bez niej mieszkańcy mieli wszelki powód do tego, aby drzeć na samo wspomnienie nazwiska żelaznego kanclerza.

IV.

Z zadąsaną i strapioną miną, wolno, jakby niechętnie szedł Stach nazajutrz do szkoły. Przystawając co chwilę, przyglądał się drzewkom i krzakom, których gałązki lub łodygi pokryte były już zielonawo-czerwonymi pączkami. Co parę kroków mijały go inne dzieci, zagadywały do niego, ale Stach albo wcale nie odpowiadał, albo tylko półsłówkami. Był on pilnym i pojętnym uczniem, który nawet przy dzisiejszym systemie niejedno pojął i zrozumiał; nauczył się nawet

jako tako po niemiecku i przewyższał pod tym względem tak bardzo resztę polskich dzieci, że go zawsze na przykład stawiano, a nawet za dowód, że i przy dzisiejszym przewrotnym systemie dzieci czegoś nauczyć się mogą. Jakkolwiek ta nauka i jemu sprawiała wielkie trudności, tak że nieraz gorzkimi opłakiwał ją łzami, nie czuł on do szkoły i nauki takiej odrazy, jaką przepełnione były serca innych dzieci polskich, tych biednych ofiar zdrożnej polityki.

Dziś jednak szkoła straszną mu się wydawała. Mózg jego pracował gorączkowo i silił się na rozumowania różne. Przed chwilą pożegnał matkę, która dnia tego słabszą jeszcze była, niż wczoraj. Tylko na jej życzenie szedł do szkoły, choć sprawiało mu to przykrość niewymowną. Byłby raczej wolał iść na najcięższą robotę, z najnieprzyjemniejszą posyłką, niż pójść na ten „fest“ dla Bismarka, tego Bismarka, z którego ramienia tyle nieszczęść spadło na jego rodzinę. Stach był chłopakiem nad wiek swój mądrym, rozwiniętym i odznaczał się niezwykłą łatwością trafnego odgadywania nawet takich zagadek życiowych, które wybiegały daleko po za zakres wiedzy, myśli i uczuć dziecięcego wieku jego. — Gdyby nie system fałszywy, który w zarodku już przytłumia ciężkim kamieniem wrodzoną inteligencją dzieci polskich, Stach byłby może w większej jeszcze mierze zwrócił uwagę na siebie niezwykłymi zdolnościami. On wiedział ze szkoły, kto to jest ten Bismark, w jego oczach nie była to postać taka na pół mistyczna, wiedząca o wszystkim, uosobienie potęgi, grozy i kary, jak go sobie wystawiała matka jego. On widział w nim tylko człowieka, wprawdzie potężnego, ale zawsze tylko człowieka, który z niewiadomych mu powodów tak się zawziął na lud polski w ogólności, a na jego rodzinę w szczególności, —

człowieka, którego mu przynajmniej wolno było nienawidzić, a w danym razie przeciwko niemu się zbuntować. Wszelkie szczegóły dotyczące smutnej śmierci dziada i ojca dobrze mu były znane, bo nie raz, ale sto razy słyszał je z ust matki, która w braku innych przyjaciół, jego czyniła pośrednikiem żalów swoich. Pamiętał on zresztą obu, tak dziada jak i ojca, bo gdy zaszły opisane w przeszłym rozdziale wypadki, Stach liczył już lat cztery blisko. Umysł i pamięć dziecka, czułe na każde wrażenie, zachowują te wrażenia w świeżości wielkiej, dłużej niż umysł i pamięć ludzi dorosłych. To też i Stach widział jeszcze przed sobą wyrażenie uśmiechnięte wesołe oblicze ojca, pamiętał jak tenże brał go na ręce, na konia wsadzał, lub na wozie obok siebie trzymał, gdy na pole wyjeżdżał.

Pamiętał także i wyraz twarzy dziada, tego wiernego piastuna swego. Wiedział dobrze, że gdy oni jeszcze żyli, inaczej wyglądało w ich chacie i wesołej w niej było. Dziad zginął marną śmiercią, ojciec umarł zdala od nich w więzieniu, szczęście rodzinne i dobrobyt przepadły bezpowrotnie, matkę choroba dobijała, — a wszystko to z winy tego jednego potężnego człowieka. Słuchając bajek o strasznych czasach, zaklętych królewiczach lub olbrzymach, co drzewa rwali i góry obalali, Stach gorąco sobie życzył takiej siły olbrzymiej, aby mógł pomścić się za zmarłych i za całą matkę niedołą. Co więcej, uważał to nawet za swój obowiązek synowski. A gdy po raz pierwszy zobaczył w szkole obraz tego mocarza, mimowolnie zacisnął pięści i długo, długo w tę twarz groźną się wpatrywał, jakby ją chciał dokładnie wbić sobie w pamięć, aby już nigdy jej nie zapomnieć. Chwilowo jeszcze milczał, bo czuł się słabym, ulegał zresztą ostrzeże-

niom matki, która bezstronnie, wskazując na smutny koniec ojca, ostrzegała syna, aby już niczem, niczem tego srogięgo potentata sobie nie zraził. Nieraz też runął się z wielkiego oburzenia, gdy nauczyciel wychwalał tego Bismarka i kazał sobie pochwały te innym dzieciom powtarzać. Szczęśliwy przypadek zrzucił, że jego nigdy los ten nie spotkał, bo już dawno może byłby zrobił małą awanturę. Zresztą nie miał powodu się skarżyć. Lata jego szkolne przypadły na czas, w którym Bismark pozbawiony urzędu i łaski cesarskiej wegetował w ustroniu swem i ztamtąd ciskał gromy na następcę swego, a nauczyciel Stacha, importowany z Zachodu Niemiec, oglądający się na wiatr, wiejący z góry, nie uważał dotychczas za stosowne lub pożyteczne wychwalać Bismarka bardziej, niż tego plan nauki wymagał. Dopiero w ostatnich dniach otworzyły mu się usta, i przygotowując niby działwę na zapowiedzianą uroczystość, opowiadał jej o Bismarku, o jego wielkości i szlachetności całemi godzinami, aż się Stachowi krew ścinała w żyłach i ledwie na ławie mógł usiedzieć. Czasem nawet aż go coś pchało gwałtem, aby podskoczyć i wrzasnąć: „To wszystko nieprawda!“ — i tylko z niezwykłym wysiłkiem woli, na myśl o matce, trzymał język swój na wodzy. Dziś zapewne jeszcze stokroć gorsze czekały go męki, więc też z trwogą okrutną włókł się ku szkole.

Że też to uległ woli matczynej! Kochał on ją tak bardzo, że jej wprost w oczy niczego odmówić nie mógł. Jak często w takich razach się zdarza, biedna wdowa uważała syna za swego najzaufańszego przyjaciela i wcześniej wpoila w niego mniemanie, że jemu po ojcu przypadł obowiązek opiekowania się matką i siostrą młodszą. Stosunek

między matką a synem był też nadzwyczaj serdeczny. Stach nie tylko kochał matkę, ale litował się nad jej niedolą i niemocą, i cierpiał z nią razem. Czuł on instynktownie, że matka może już niedługo będzie z nimi, więc też usilnem jego staraniem było osłodzić jej każdą godzinę. Z jakąż radością oddawał on jej pierwsze zarobione pieniądze! Całemi godzinami mógł siedzieć przy jej nogach lub przy łóżku i z nią rozmawiać; nie wabiły go zabawy rówieśników. To też wczoraj wystarczyła jedna łza matki, aby złamać jego opór.

Teraz atoli, gdy matki nie było przy nim i gdy coraz bardziej zbliżał się do budynku szkolnego, gorycz brała w nim górę. Wszelkie krzywdy wyrządzone rodzinie jego, żywo stały mu w pamięci i młoda dusza zadrżała z oburzenia, że teraz nawet sprawcy tych krzywd honory oddawać będzie musiał. Machinalnie kroczył przed siebie znajomą dobrze ścieżką, jak gdyby miał przeczucie, że stanie się dziś coś nadzwyczajnego.

V.

Szkola była już przepelnioną, nauczyciel lada chwilę mógł się ukazać. Stach cicho wsunął się na swe miejsce w tylnej ławie i czekał. Izba szkolna niewesoły przedstawiała widok i brakło w niej tego tchnącego dziecięcą żywotnością i swobodą ruchu i życia, które dziwnym urokiem zwykle otaczają szkoły; wesolemi były tylko oblicza wypasionych, rumianych, a jeszcze nie licznych dzieci świeżo sprowadzonych kolonistów niemieckich, które rozmawiały między sobą jakimś niezrozumiałem narzeczem niemieckiem. One to razem

z dziećmi nauczyciela przystroili izbę szkolną zielenią. Między nią a dziatwą polską, cicho i bojaźliwie siedzącą na ławach, żadnej prawie nie było łączności, — i łatwo przewidzieć było można, że nigdy już nie będzie. Były to ciała tak odrębne fizyognomią, myślą i ruchem, że o zupełnem zlaniu się ani mowy być nie mogło.

Wreszcie drzwi się otwarły i nauczyciel się ukazał. Był to człowiek średniego wieku, suchy, wygolony, z surowym i energicznym wyrazem twarzy. Podeszedł do katedry, zapisał coś do książki dziennej, przeszedł się parę razy po pokoju, pochwycił z przyzwyczajenia długi pręt trzcinowy, leżący na katedrze i zaczął się nim bawić, obserwując uważnie twarze swych uczniów i uczennic. Ileż to par oczek dziecięcych spoglądało na tę jego zabawkę podejrzliwem, niespokojnem okiem! Toć dla nich głównie przeznaczone było to niezbędne narzędzie nowoczesnej pruskiej pedagogiki i wieleż razy biedactwa te zawarły już z niem nieprzyjemną znajomość. Potem zaczął pan nauczyciel mówić długo i obszernie o Bismarku i czynach jego, o cesarstwie niemieckiem, o wojnach i bitwach srogich, a słowa jego płynęły niby struga pochwał dla sławy wielkiego kanclerza. Dzieci niemieckie słuchały ciekawie i uważnie, z otwartemi ustami, polskie niewolniczo patrzyły na usta nauczyciela, a ledwie mniejsza ich połowa rozumiała setną część tego, co mówił, wszystkie zaś drżały na myśl, co to będzie, gdy pan nauczyciel każe sobie powtórzyć tę długą naukę, lub chociaż tylko się zapyta, co opowiadał. Z wzrastającym też niepokojem śledziły dzieci szybki ruch trzciny, która w miarę, jak rósł patryotyczny zapal zimnego zwykle pedagoga, z świstem złowrogim przecinała powietrze.

Tylko Stach miał głowę spuszczoną i patrzył przed siebie, jakby nieprzytomny. Twarz jego aż gorzała rumieńcem, a oczy dziwnie złowrogim pałyły ogniem. Nie uszło mu ani jedno słowo nauczyciela, a gdy tenże zaczął opowiadać o rodzinie Bismarka, o jego synach i wnukach, o szczęśliwym położeniu rodzinnem, chwyciło chłopaka coś za gardło, tak że zdawało mu się, iż się udusi. Łzy gwałtem cisnęły mu się do oczu, ale je połykał, aby nie zdradzić wzruszenia swego. I znów go ogarnęła wątpliwość w miłosierdzie Boże.

Wreszcie nauczyciel skończył wykład i odchrząknawszy, odezwał się z namaszczeniem:

— A teraz, dziatki moje, powstańcie z miejsc i zmówcie za mną modlitwę, aby Pan Bóg tego najlepszego męża jak najdłużej ojczyźnie naszej zachować raczył.

Jakby na komendę cała klasa stanęła na równe nogi. Tylko Stach ani się ruszył.

Nauczyciel spostrzegł to i zmarszczył brwi.

— Kempa! — zawołał groźnie — czyś nie słyszał?

Stach nic nie odpowiedział. W głowie mu szumiało, ale jedna myśl trzymała całe jego ciało na uwieży: „On za tego, który mu dziada i ojca zabrał, który ich w nędzy pogrążył, z którego winy matka tak srodze cierpiała, modlić się nie będzie; on nie będzie prosił Boga, aby dłużej jeszcze zachował przy życiu tego, który nie miał nad nimi litości, na którego wspomnienie matka łzami się zalewa.“ Wszystkie napomnienia jej uleciały nagle het, daleko, a pozostał tylko niemy, lecz hardy upór obrażonego w swych najświętszych uczuciach dziecka. Chwilami zdawało mu się, że stanie się teraz coś strasznego, że cała klasa się obraca około niego; czuł żalność wielką, i gniew jeszcze większy, a tylko

jedno uczucie nie miało przystępu do niego: trwoga. Coś mu zamigotało przed oczami, widział niby twarz ojca, która zdawała się mu mówić: „Śmiało, Stachu! Śmiało! — pokaż, żeś wiernym synem moim, że mnie i w grobie miłujesz!”

Wtedy chłopak bardziej jeszcze skurczył się i nachylił, a ręce silnie chwyciły się brzegu ławki, jakby obawiał się, aby go przemocą od niej nie oderwano.

Nauczyciel zbliżył się do niego, a z oczu jego sypały się iskry.

— Kempa! hast du nicht gehört? — wołał ponownie podniesionym głosem. — Dla czego nie wstajesz?

Stach ani nie odpowiedział, ani się nie podniósł.

— Was? — krzyknął nauczyciel, już teraz z gniewem wielkim. — Co to ma znaczyć? Czy słuchać nie chcesz? A może ty nie chcesz się modlić za Bismarka?

Stach nie ruszał się...

— Unerhört! Diese Frechheit! — zawrzasnął tubalnym głosem pedagog. — Warte nur! ich werde dich schon auf die Beine bringen!

I przy tych słowach trzcina świsnęła kilka razy w powietrzu i z wielką mocą spadała na plecy biednego chłopca. A śnać uderzenia te były bardzo dotkliwe, bo ból odbił się wyraźnie na twarzy Stacha, ale mimo to chłopak ani nie drgnął, jeno silniej jeszcze uchwycił się ławki.

— Da hört aber alles auf! — syczał teraz nauczyciel, cały siny od gniewu. — Zaraz mi odpowiesz, dla czego nie chcesz wstać, dla czego nie chcesz się modlić, kto cię zbuntował? — Może Matka?

Ledwie pedagog wymówił to słowo i zanim jeszcze trzcina ponownie dotknęła ramion Stacha, zerwał się tenże z ławki, pałające gniewem oczy wlepił w nauczyciela i zawołał na cały głos:

— Nikt mnie nie zbuntował, ale ja się za Bismarka modlić nie będę.

Twarz pedagoga stała się z sinej czerwona, z czerwonej blada. Takiego oporu się nie spodziewał, zwłaszcza ze strony jednego z tych zafukanych i w ryzie trzymanyh dzieci polskich. Ale trwało to ledwie kilka sekund. Wnet ochłonął z swego zdumienia i tem większą zapalał złością, widząc, że ma przed sobą jawnego buntownika, nietylko przeciwko swej powadze, ale o zgrozo, przeciw powadze Bismarka i całej reprezentowanej przez niego niemczyzny.

Wiem lewą ręką chwycił chłopaka za kołnierz, gwałtownem szarpnięciem wyciągnął go z ławki, i znów trzcinę wyniósł w górę.

— A dla czego? dla czego?

— Bo Bismark sprawił, że mój dziad się powiesił, a ojciec umarł w więzieniu; bo on taki zawzięty na cały naród i radby wszystkich tak zgubić, jak nas zgubił...

Jeszcze większe zdumienie odbiło się teraz na twarzy pedagoga. Odpowiedź chłopca zmieszała go pomiekąd. Puścił więc kołnierz, spuścił wzniesioną już do uderzenia trzcinę i zapytał spokojniej:

— Kto ci to powiedział?

— Sam wiem, — nikt mi tego powiedzieć nie potrzebował.

— So! So! da haben wir's, so werden die Kinder aufgewiegelt! No, zaraz mi powiedz całą prawdę, kto ci takie głupstwa nagadał? Kto cię zbuntował? Matka?

— Nie! — wrzasnął teraz Stach i przybrał postawę prawie wyzywającą.

— Ksiądz?

— Nie!

— A więc kto!

— Nikt!

— Zaraz mi powiedz!

— Niema co powiadać!

Twarz nauczyciela znów posiniała, trzcina znów wzniosła się w górę.

Lecz Stach ani drgnął, jeno wciąż patrzył śmiało w oczy przeciwnika. Pierś poruszała się przyspieszonym oddechem, a ręce konwulsyjnie zacisnął w pięści. Pięknym był w tym uporze swoim ten ubogo ubrany chłopiec wiejski.

W całej klasie panowała cisza, jakby kto makiem posiał. Na twarzach dzieci niemieckich malowała się ciekawość wielka, co też z tego wyniknie, twarze dzieci polskich zdradzały strach niewolniczy. Tylko tu i owdzie dostrzedz było można u starszych chłopców wyraz współczucia dla młodego śmiałka. Niejednemu tam może serce żywiej w piersi zabiło, niejeden radby był krzyknąć na całe gardło: „Śmiało, Stachu! śmiało! My z tobą!“ — ale kilkoletnia nauka wedle nowego systemu, podtrzymywanego trzcina i strachem, zrobiła swoje. Męczone bezowocną nauką, która serce i duszę pozostawiała odłogiem, wyrastały dzieci te nie na obywateli, ale na niewolników, dla których podobna śmiałość była czemś zupełnie niepojętem.

Dzieci nie miały zresztą czasu na długie zastanawianie się, bo znów posypały się razy na głowę i ramiona Stacha, a równocześnie nauczyciel krzychał:

— Ja ci powiem lepiej, jak to było. Twój dziad był przybłądą ze świata, który żył tu nieprawnie i Niemcom chleb wyjadał. Wolał się powiesić, niż wrócić do swej pięknej ojczyzny rosyjskiej, a twój ojciec był buntownik, który słusznie ukarany został za to, że przeciw władzy królewskiej się stawiał i obraził największego męża niemieckiego. Jeden i drugi doznał tego, na co zasłużył!

— Nieprawda! nieprawda! — krzychał teraz i Stach, a uniesiony bólem i gniewem podniósł ręce w górę, jakby zamierzał nimi bronić dobrej sławy zmarłych.

— „Was? Auch dass noch!“ — ryknął na to pedagog, nie zdolny już zapanować nad sobą. Ty buntowniku jakiś, ty mi śmiesz grozić? Poczekaj, poczekaj! I bijąc i krzycząc na przemianę, zawłókł teraz Stacha za kołnierz aż ku katedrze, poczem pchnął go w sam kąt izby szkolnej.

— Tu stój! — wołał wściekłym głosem — boś niegodny siedzieć między temi posłusznymi i dobrymi dziećmi. Tu stój, a potem się raz jeszcze rozmówimy!

Chłopak nic już nie odpowiedział. Stał spokojnie w kącie ciemnym ze spuszczonej oczyma, ze zaciśniętymi zębami. I choć teraz ból fizyczny wziął górę nad oburzeniem — chociaż wyciśnięte nim łzy jak groch spadały po jego twarzy, ani ryknął, ani jęknął.

Nauczyciel tymczasem przeszedł się kilka razy po pokoju, uspokoił się, wysapał, potem ponurym głosem odmówił modlitwę, którą dzieci, do połowy naturalnie strasznie pokoszlawioną niemczyzną, chórem za nim powtarzały. Potem zaśpie-

wano jeszcze patryotyczną pieśń niemiecką — i uroczystość była skończoną. Być może, że byłaby się przeciągnęła dłużej jeszcze, ale nieprzyjemne zajście ze Stachem popsuło panu nauczycielowi humor i ostudziło zapał. Więc rozpuścił dzieci do domu, jeno Stacha sobie zatrzymał, aby dokonać rozpoczętej inkwizycji.

VI.

Gdy już ostatnie z dzieci znikło za drzwiami, nauczyciel przystąpił do Stacha i pozornie spokojnym głosem rzekł:

— Pozostaniesz tu tak długo, dopóki mi nie powiesz, kto cię zbuntował i dopóki nie zmówisz modlitwy za Bismarka!

Stach nic nie odpowiedział.

— Idź na swoje miejsce i namyśl się dobrze — ciągnął dalej pedagog. — Za pół godziny przyjdę. Jeżeli nie powiesz, posiedzisz tu do sądnego dnia!

Mówiąc to, pan nauczyciel opuścił klasę i zamknąwszy drzwi na klucz, poszedł na drugą stronę domu, do mieszkania swego na śniadanie.

VII.

Tymczasem chora Antka rozmyślała znowu nad niedolą swoją. Dziwnie jej jakoś było dzisiaj na sercu i jakiś niezwykły niepokój ogarniał ją. Rozbudzone wczorajszą rozmową wspomnienia odżyły na nowo w jej pamięci. W nocy podczas przerywanego częstym kaszlem snu — ledwie oczy zamknęła, zaraz śniła o Walku i ojcu, i coraz to nowe, a piękniejsze

oglądała widzenia. Gdy się nad ranem zupełnie obudziła, czuła w sercu swem ogromną tęsknotę za obu zmarłymi. Oj, radaby ona już co rychlej połączyć się z nimi na wieki! Czuła się dziś zresztą znacznie słabszą i coraz częściej przychodziło jej do głowy, że to pewnie już i koniec się zbliża. Niech się dzieje wola Boża! myślała. Radabym jeszcze pożyła do jesieni — aby przynajmniej doczekać się tego, że Stach wyjdzie ze szkoły, z tej bismarkowskiej niemieckiej szkoły! Ale Bóg wie, co robi! Zresztą nie ma obawy, iżby go zatrzymać w niej mieli dłużej. Toć poszedł dzisiaj na urodziny Bismarka i przez to pokazał panu nauczycielowi, że nijakiej nienawiści do tego mocarza w swem sercu nie żywi.

Tak medytowała chora, popłakiwała czasem po cichu, lub zamieniała kilka słów z Maryską, krzającą się po izbie. Ale niepokoju wewnętrznego jakoś pozbyć się nie mogła.

Tymczasem zbliżyła się jedenasta. Maryska usłyszała wrzawę dzieci, wracających ze szkoły i zaraz zaraportowała matce, że i Stach pewnie wróci lada chwilę. Ale minęła godzina, a Stacha widać nie było. Niepokój chorej wzrastał.

— Gdzie też ten Stach przebywa — odezwiała się do Maryski — przecie chyba wprost do Bartłomieja na robotę nie poszedł. On jużby sobie tego nie odmówił, aby wpierv nie zobaczyć, co się zemną dzieje. Czyś aby dobrze widziała, że dzieci wracały?

— Dobrze widziałam, matulu!

— I znów minęło pół godziny. Co się też temu Stachowi stać mogło? Byle tylko nie popełnił czego złego! On taki był wczoraj zawzięty, tak niechętnie szedł dziś do szkoły. Jeszcze gotowi go nie puścić na jesień!

— Maryśka! Skocz jeno do Bartłomieja i spytaj się dzieci, co się z Stachem dzieje? — rzekła wreszcie Antka do córki.

Maryśka szybko wybiegła z izby.

Może kwadrans upłynął, zanim dziewczę wróciło, a wróciło z głośnym płaczem, który już z daleka oznajmiał chorej, że stało się coś złego. Wnet też Maryśka, nie mogąc się uspokoić i nie bacząc na stan matki, opowiedziała dokładnie scenę w szkole, o której się dowiedziała od Bartłomiejowych dzieci.

Na chorą opowiadanie to straszne wywarło wrażenie. Zaraz po pierwszych słowach, gdy tylko usłyszała o co chodzi i za co nauczyciel zbił jej syna, podniosła się na posłaniu się z nadzwyczajnym wysiłkiem i w siedzącej postawie słuchała końca. Powoli twarz jej przyoblekała się rumieńcem, i zdawało się, że wraz z rumieńcem tym wracają jej i dawne siły.

— I bił go bardzo? — pytała.

— Oj bardzo, matulu, bardzo, — opowiadał Franek, — że aż się dzieci niemieckie litowały.

— I znowu za Bismarka?

— A jużci!

— I zatrzymał go w klasie?

— Zatrzymał!

— I pewnie jeszcze srożej bić go będzie?

— A pewnie...

— Maryśka!

— Co, matulu?

— Podaj mi moje spódnicę i kabat...

— Co robicie? matulu! — zawołało dziewczę z przestachem, widząc, że matka zabiera się, aby wstać.

— Pójdę sama po Stacha, bo mi go tam jeszcze zabiją. Nie dość im ojca, teraz jeszcze i syna biją za Bismarka onego. Muszę iść, słyszysz? — dodała, ponieważ Maryśka spoglądała na nią dużemi oczami, a nie ruszała się wcale. — Muszę go namówić, aby spokorniał, bo i on tak samo zmarnieje, jak zmarnieli i tamci, i ty, biedna, sama pozostaniesz na świecie. Pewnikiem go za to na jesień nie puszczą.

— Ale matulu! matulu! Wy przecie iść nie możecie.

— Pójdę sama, dziecko moje, Bóg mi doda siły, a ty mnie poprowadzisz. Kogo innego Stach nie usłucha. Daj mi rękę!

I stała się rzecz dziwna. Ta chora, która przed chwilą jeszcze ręki podnieść nie mogła, a która lada chwilę oczekiwała śmierci, ta chora ubierała się teraz sama, z gorączkowym pośpiechem, z niebywałą w ostatnich czasach mocą. A rumieniec na jej policzkach stawał się coraz czerwieńszy, oczy coraz bardziej pałały, a z piersi oddech wydobywał się z głośnym świstem.

Maryśka spoglądała na matkę z niemem zdziwieniem, osłupiałym wzrokiem, i machinalnie podawała jej suknie.

Gdy chora jako tako się przyodziła, postąpiła kilka kroków na środek izby; szło to jakoś, choć widocznie z ogromnym wysiłkiem. Wtedy chora podała rękę Maryśce, a drugą ująwszy kij sękaty, pamiątkę po mężu, kazała się córce ku szkole prowadzić.

Ludzie na drodze wiejskiej przystawali i spoglądali zdziwieni na tę dziwną grupę, jakby na zjawisko jakie z tamtego świata, bo Antka więcej już była do trupa podobną, niż do żywej istoty. Niektórzy zagadywali do niej i radzili, aby się lepiej tak nie męczyła, ale ona nie odpowiadała, jeno patrząc pałającym wzrokiem przed siebie, wlokła się przy pomocy córki powoli ku szkole.

VII.

Stach siedział jeszcze na swem miejscu na tylnej ławie, ręce miał splecione i ponurym wzrokiem wodził po klasie. Na katedrze siedział nauczyciel i pisał coś pilnie. Był to raport do wyższej władzy o niesłychanem zajściu, które mogło przecie być tylko owocem polskiej agitacyi. Dwa razy już zapytywał się on w dobroci Stacha, czy chce się przyznać, kto go podburzył i czy chce powtórzyć modlitwę, ale chłopak oba razy jeno przecząco głową poruszył. Za każdą razą twarz nauczyciela czerwieniała się z gniewu, za każdą razą ręka chwytała za trzcinę, ale zawsze umiał się pohamować i sądził, że w inny sposób złamie opór nieposłusznego ucznia. Takiemu młodzikowi jeno czas zostawić do namysłu, a zazwyczaj skruszeje.

Co się działo w tym czasie w duszy młodego przestępcy? Oj ciężką biedny chłopak staczał ze sobą walkę. Najbardziej żał mu było, że nie może iść na zarobek i matce chociaż kilku groszami dopomódz. Na jej wspomnienie uczuwał wielką żalność w sercu. Jakże się ona zmartwi, gdy się dowie o wszystkim. Walczył w nim upór i obrażone uczucie synowskie z rozumem i przywiązaniem do matki. Były

chwile, że to ostatnie brało górę w sercu jego, zwłaszcza gdy sobie przypominał ranne napomnienia. Z jakim to niepokojem biedna matka musi tam teraz oczekiwać powrotu jego... Stach już się chciał odezwać, już chciał oświadczyć gotowość powtórzenia modlitwy owej, ale za każdą razą stawał mu przed oczyma ojciec biedny, nie taki wesoły, uśmiechnięty, jakim był zawsze dla niego, ale owa trupia blada twarz jego, przekrzywiona cierpieniem i chorobą, jaką widział był w trumnie, a która silnie utkwiała mu w pamięci. Przytem głos jakiś szeptał mu ciągle: Nie ustępuj, nie upokarzaj się, pomnij na biednego dziadunia, na nieszczęśliwego ojca twego, na tę zniewagę, jaką mu nauczyciel przed chwilą wyrządził.

Biedny chłopiec staczał pierwszą ze sobą walkę wewnętrzną, tę najtrudniejszą z walk życiowych, zwłaszcza w razach takich, gdy niepewni jesteśmy, czy uledez sercu, czy rozumowi.

Stach nie upokorzył się; siedział i gryzł się i martwił, a od czasu do czasu łzy mu spływały po twarzy.

Nagle drgnął na całym ciele i poruszył się gwałtownie — zdziwienie i niepokój odbiły się na jego twarzy. Ze sieni doleciał go szelest posuwanych wolno kroków i dobrze mu znany suchy i chrapliwy kaszel chorej matki.

Przerażony wstał z ławki i ze drżeniem spoglądał ku drzwiom. Nauczyciel podniósł głowę i także nasłuchiwał. W tem drzwi się otworzyły i na progu klasy stanęła Antka. Jedną ręką trzymała się drzwi, a drugą wsparła na ramieniu córki. Twarz jej wynędzniała, teraz w pełnem świetle dziennem jeszcze mizerniejszą się wydawała. Zapadłe głęboko oczy szukały syna, a znalazłszy go, spoczęły na nim z wyrazem wielkiej macierzyńskiej miłości. Czyż się miała gniewać na

tego syna, który z miłości dla ojca nie uląkł się kary, ani upokorzenia? Nie, litowała się ona jeno nad nim, serce jej pękało z bólu i strachu, że będzie on nową ofiarą srogiego mocarza i ten przestach malował się wyraźnie na jej twarzy. Zdawało się, że w tej suchej, prawie przezroczystej postaci nie ma już nic ludzkiego, że to mara jakaś, która z trumny powstała. Z syna przeniósł się wzrok jej na nauczyciela i przybrał wyraz tak gorzkiego wyrzutu, że pedagogowi zamarły na ustach szorstkie wyrazy, któremi chciał powitać kobietę za nieprawne wtargnięcie do szkoły.

— Matulu! Matulu! — zawołał Stach, ujrzawszy ją w progu, i do nóg jej przypadł i ręce jej pochwycił i całował, a przytem zaszlochał takim płaczem okrutnym, jakby się w nim wszystko rwało z żalu. Natura dziecka, szukająca u matki ukojenia, pomocy i opieki ozwała się nagle z całą siłą i przytłumiła wszelkie inne uczucia.

Pedagog stał przed katedrą widocznie zakłopotany. Przypatrzwszy się bliżej Antce, przeraził się jej widokiem. Więc zdobywając się na najłagodniejszy, o ile możliwości, głos, zapytał się: „Was wollen Sie?“

Lecz biedna matka nie odpowiedziała mu na to pytanie. Oparta o ścianę, tuliła do piersi wyschłej głowę płaczącego dziecka i mówiła drżącym głosem...

— Już się nie upieraj, mój Stachu... zrób co ci każą... pomódl się za niego. Toć i Pan Jezus modlił się za tych, którzy go krzyżowali... Zrób to dla mnie, dla chorej matki Twej... abym spokojniej umrzeć mogła... Już niedługo... pójdę do ojca waszego... to mu powiem, jak dobrego ma syna... jak go bronisz i miłujesz... Ale ciebie muszą puścić na jesień, abyś mógł pracować na siebie i na siostrę... Już zrób, co ci

każą... oni i tak mają moc wielką... Tyś biedaku jeno prochem w ich ręku... i przyszloby ci tak skończyć, jak skończył Twój ojciec... Nie upieraj się, zrób to dla mnie... dla Pana Jezusa, który Twego ojca wziął do swej chwały...

A potem, zwracając się do nauczyciela, rzekła dobitnie i z wielką mocą:

— A jemu nikt tego nie podpowiedział, jeno chyba podpowiedziała mu to owa krzywda wielka, jaką nam wyrządziliście...

I łagodne napomnienie matki dokonało tego, czego kij i groźba sprawić nie mogły.

— Już zrobię! zrobię! wszystko co każecie, jeno wy, matulu, idźcie do domu, do łóżka, bo jeszcze bardziej zachorujecie... i to z mej winy.

I odwróciwszy się nagle, pobiegł do katedry, stanął przed zawsze jeszcze zakłopotanym nauczycielem i bez podpowiadania bełkotał, zalewając się łzami, słowa modlitwy, o ile mu one utkwiły w pamięci.

.....„und Gott erhalte noch lange unseren Bismark, den grossen, den guten, den edlen...”

— „Schon gut” — odezwał się nauczyciel, rad, że tak się zakończyła ta awantura i pragnąc jaknajrychlej pozbyć się widoku chorej, który dziwnym przejmował go strachem... — „Kannst gehen!”

Ale chłopak uniósł się znów wielkim płaczem, aż się trząsł cały, zakrył sobie oczy rękoma, jakby zbrodnię jaką popełnił i zataczając się jak pijany, wolno wracał do matki.

Nim doszedł — stało się coś strasznego. Wynędziała postać Antki zaczęła się nagle chwiać i słaniać jak trzcina wiotka, poruszana wichrem. Próżno starała się Maryśka pod-

trzymać słabnącą. Rumieniec znikł z jej twarzy, za to pojawił się na ustach w postaci kropli krwawych, które wnet wybuchnęły strumieniem. Ten wysilek, to wzruszenie — za wiele było dla chorej. Siły, ostatkiem woli, trwogą i miłością macierzyńską podtrzymywane, opuściły ją teraz zupełnie i powoli się chyląc, padła wznak na ceglana posadzkę sieni, aż głowa jej z łoskotem uderzyła o kamień.

Krzyknęła Maryśka, wrzasnął przeraźliwie Stach i ku matce poskoczył. I pan nauczyciel zawołał: „Hergott“ i na ratunek pospieszył — ale ratunek wszelki był już daremny. Z ciężkim jękiem uleciała dusza biednej polskiej chłopki-męczennicy ku lepszemu krajowi, pomnażając liczbę niemałą ofiar polityki żelaznego kanclerza.

Pochylony nad nią Stach ryczał formalnie z żalu i bez opamiętania całował ręce matki i wołał ją i błagał, aby otworzyła oczy i przemówiła do niego. A w uszach biednego chłopca brzmiały ciągle jeszcze niby szyderstwo z niedoli jego, słowa odmówionej co dopiero modlitwy: „Gott erhalte noch lange unseren Bismark, den grossen, den guten, den edlen!“

*

*

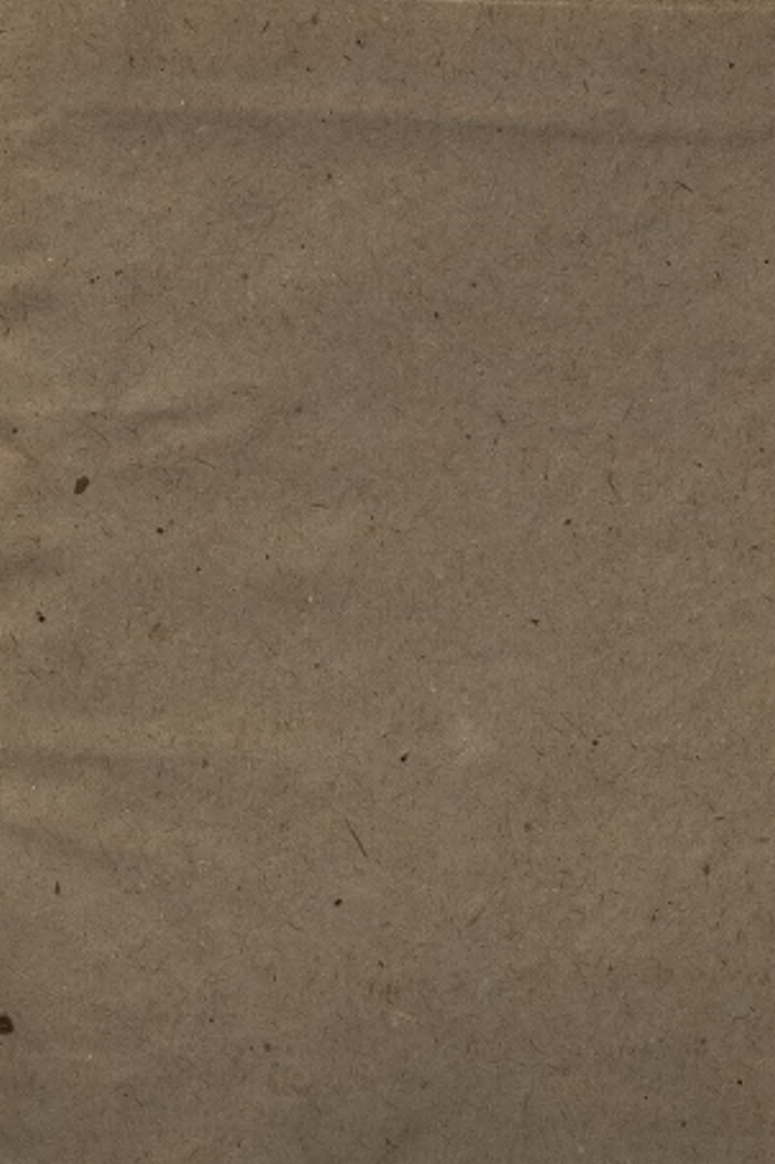
*

Pan Bóg wając na swej szali porówno zasługi możnych jak i maluczkich, słyszał i tę modlitwę Stacha i zapewne nie zapomni o niej, gdy do sądu zasiędzie. Opowieść nasza skończona. Dodać chyba tu jeszcze możemy, że dotychczas gazety naszych najserdeczniejszych nie rozpięły się o tym wypadku. Śnać nikt im jeszcze nie doniósł o tym nowym objawie agitacji polskiej, która już nawet dzieci szkolne

wciąga w koło swych buntowniczych knowań. Może się dowiedzą o tem z tej oto opowieści. Podobno atoli nauczyciel Stacha wniósł do rejencyi podanie, aby go przesiedlono na inną posadę, gdyż na każdym kroku prześladowa go widmo konającej Antki i spokoju mu nie daje.

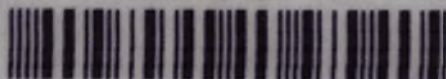
KONIEC.





Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

5662 S



001-005662-00-0